

ANDRZEJ PILIPIUK

Weźmiesz czarno kure...

Jakub Wędrowycz stał wpatrując się ponuro w swoją niedoszłą plantację malin na Białej Górze. Pole dobrane było idealnie. Południowa ekspozycja, solidnie zasilone obornikiem. Wąskie i długie. A jaki piękny był z niego widok.

Wzrok właściciela mógł się swobodnie ślizgać po całej dolinie. Na lewo widać było wysadzaną drzewami drogę do Huty, dalej majaczyła kapliczka stojąca na rozstajnych drogach. Przed nim w dolinie leżały Wojsławice.

Wyraźnie widział białą sylwetkę kościoła i dach byłego ratusza. Za wsią wznosił się masyw Mamczynej Góry i Zamczyska, i tylko źle dobrany punkt obserwacji utrudniał dostrzeżenie wielkiej piaskowni. Dalej, już na prawo od niego widać było kirkut i pagórki, za którymi leżała Trościanka. Jeszcze dalej majaczył Witoldów, a kępa drzew wyznaczała położenie jego rodzinnego Starego Majdanu. Daleko. Prawie osiemnaście kilometrów.

Za plecami wznosił się niewielki pagórek, a dalej był las, poprzecinany licznymi parowami. W lesie znajdował się cmentarz z pierwszej wojny światowej. A tu była jego plantacja. Jego niedoszła plantacja. Dziesięć arów malin, obecnie wgniecionych w ziemię kołami kombajnu, który przejechał tędy co najmniej cztery razy. Większość owoców opadło na ziemię. Niektóre krzaczki uniknęły losu swoich braci, lecz niewiele ich zostało.

- Podłość ludzka nie zna granic - powiedział w przestrzeń. Jego nieletni syn Mikołaj podniósł się z ziemi, gdzie badał ślady.

- Maliny zebrali najpierw z grubsza do wiader, a później pojeździli kombajnem. Sądzę, że nie po to, aby ukryć ślady, ale to jedyna droga tędy.

- Droga?!

- Przepraszam, tato. Miałem na myśli, że to jedyny równy kawałek pola. Ta świnia nie mogła przejechać polną drogą obok, bo ryzykowałby zerwanie bębna. Pojechał na skróty. Idziemy na milicję?

- Nie. Weźmiemy zemstę we własne ręce.

Na skraju pagórków od strony lasu pojawił się Józef Paczenko siedzący na swojej klaczce. Po chwili podjechał do nich.

- Ślady ciągną się, aż do pola Jopka, które jest ślicznie skoszone. Podobnie jak dwa sąsiednie. W jeden dzień na pewno nie dał rady. Musiał tu szaleć co najmniej trzy dni.

- Cholera i nikt mnie nie zawiadomił - zdenerwował się Jakub - żeby ich tak diabli wzięli. Jak im jestem potrzebny to jak sarenki do wodopoju, a tak to kamieniami rzucają. Kłody pod nogi. Na każdym kroku.

- Nu, nie denerwuj się. W gminie są dwa kombajny. A to myślę, że była „Yistula” Świrskiego. Job, jeho matery!

- A to świnia. Świnia, co kiedyś był kolegą.

- Nu, i co ty będziesz robił?

- Zajdźmy go we dwu i przetrzepimy mu gnaty. Ja na milicję chodzić nie będę.

- Za dobrze cię tam znają. Choroszo. Pójdźmy we dwu, i przetrzepimy mu skórę i co z tego wyjdzie? Obijem gównem, a będziemy odpowiadać jak za człowieka. Jeśli chcesz, to oczywiście ja zawsze z tobą.

- Ty Józef boisz się sprać jednego faceta? A pamiętasz jak we wojnę szlachtowaliśmy szwabów jak wieprzki.

- Wojna to co innego. Lepiej będzie zrobić mu jakieś subtelne kuku.

- Kuku? Subtelne...

Naraz Jakub urwał tknięty nagłą myślą. Twarz jego rozjaśnił ponury uśmiech.

- Jak subtelnie? - zapytał. - Co miałeś na myśli?

- Podpalimy mu stóg, albo i stodołę.

- Równie dobrze mógłbym się pod tym podpisać! Wiesz kogo gliny będą podejrzewać w pierwszej kolejności? Mnie. Nie zapominaj, ile czasu siedziałem za ukraińską partyzantkę.

- A ja miałem amnestię.

- Ale z tą subtelnością to miałeś dobry pomysł. Masz trochę bimbru? Tego mocnego?

- Dla ciebie zawsze. Ile ci trzeba?

- Dziesięć litrów!

- Dużo, ale znajdzie się. Wpadnij do mnie wieczorkiem. Po dojeniu.

Pożegnali się i Józef pojechał na swojej klaczce w dolinę. Jakub i Mikołaj obserwowali go przez chwilę.

- On jest jakiś dziwny tato.

- Zawsze taki był. Gdy się zdenerwuje, mówi jakoś dziwnie. A konie słuchają go jak psy.

- Dlaczego nigdy nie używa siodła?

- Sam go zapytaj. Konie go lubią. Zresztą jego ociec Anzelm też był dziwny. Ważne, że odleje mi spirytu.

- Po co ci aż dziesięć litrów?

- Zobaczysz. Subtelnie. Zemsta musi być subtelna.

Roześmiał się ponurym rechotem, którego nauczył się w więzieniu od najbardziej zatwardziałych kryminalistów. Sto metrów dalej poderwało się stadko kuropatw spłoszonych tym dziwnym dźwiękiem. Ich koń zastrzygł niespokojnie uszami, choć powinien już przywyknąć. Wsiedli na wóz i pojechali do domu.

Gdy tego wieczora Jakub zaszedł do zagrody Paczenków, dobiegało właśnie końca wieczorne dojenie. W oborze panował dziwny niepokój. Koń przestępował z nogi na nogę, to znów uspokajał się.

- Co z nim? - zapytał Józefa.

- A nerwowy trochę. Siadaj i poczekaj, już kończę.

Pociągnął jeszcze kilka razy strzyki i klepnął krowę w zad. Zdjął z wiadra gazę i wycisnął pianę do niewielkiego kubka. Następnie przeszedł z nim w kąt obory, gdzie wlał jego zawartość do niewielkiej rurki sterczącej z polepy.

- Na co to robisz? - zdziwił się Jakub, który pochlebiał sobie, że zna wszystkie miejscowe zabobony.

- Jakby to powiedzieć, dla kotów w piwnicy. Bidne, głodne kotki.

- Masz piwnicę pod oborą? Józef wzruszył ramionami.

- Czy to ważne. Chodź do chałupy. Należę ci bimbru. Poszli. Wewnątrz domu panował nieład, znać było brak kobiecej ręki. Jak to u wdowca. Wdrapali się na strych, gdzie sporą część pomieszczenia zajmował solidny kocioł i system rurek tudzież kilka kadzi z zacierem.

- Nie boisz się, że ci spadnie na łeb której nocy?

- Ni, solidna chałupa. A sufit sam stawiałem. Wytrzyma.

Podłoga posypana była warstwą piasku. W tym piasku leżały butelki pełne cieczy. Jakub podniósł jedną z nich i popatrzył przez nią na zachodzące słońce widoczne w niewielkim okienku.

- Lepszy niż Josifa.

- Pewno. Ja dbam o swój żołądek. Potrójnie destylowany. O kumpli też dbam. To na łapówkę?

- Jako honorarium.

- Ty nie wynajmuj żadnych łepków do łamania mu kości. Sypną się przy pierwszej okazji. Sami możemy to załatwić.

- Ja nie łepków. Mówiłeś „delikatnie” i ja nad tym myślałem. I mam pomysł pierwszej klasy.

- Skoro tak, to daj plecak.

Załadowali go do pełna, a potem jeszcze sprawdzili, czy samogon na pewno jest dobry. Sprawdzanie zaczęło się od małej dawki, w której dawało się wyczuć jakiś obcy posmak, potem przyszła kolej na większą dawkę, dla dokładniejszego zbadania obcej domieszki. Dawka ta okazała się jednak niewystarczająca. Dopiero nad ranem udało się ustalić, że zapewne jest to dodatek soku z jabłek, który wcześniej znajdował się w tych

butelkach, ale ostateczne zweryfikowanie tej hipotezy przyjaciele odłożyli na inną okazję.

Chata Karwowskiego leżała daleko od Uhań na wzgórzu koło przejętego przez „Herbapol” pałacu.

Jej lokator najwyraźniej nie życzył sobie kontaktów z mieszkańcami wsi, a oni równie mało życzyli sobie kontaktu z nim.

Z „Herbapolem” toczył wojnę podjazdową, milicja nękała go za prowadzenie „pokątnej praktyki paralekarskiej”, a ludzie rzucali w niego kamieniami. Edward Karwowski był bowiem znachorem. Ponadto zajmował się wróżbiarstwem i kilkoma naukami pokrewnymi.

Podobno umiał też rzucać uroki, choć tego oczywiście nikt nie był w stanie sprawdzić w sposób jednoznaczny.

Owszem gliniarze, korzy go nachodzili, cierpieli potem na świerzb i biegunkę, a jeden nawet wyłysiał, wyjątkowo często psuły im się zęby i radiowozy, a dwa razy spłonął posterunek, ale ostatecznie jakieś dziewiętnastowieczne choroby każdemu mogą się przytrafić, a posterunek może się zapalić z wielu powodów.

Podobnie jak każdy weterynarz może naukowo wyjaśnić utratę mleka u krów, a higienista powstawanie kołtunów na głowach miejscowych plotkarek.

Nieurodzaj dotyczący wybiórczo pól jednych rolników, podczas gdy sąsiednie rodziły wysokie plony, był zapewne kwestią umiejętnego nawożenia, a gradobicia też się ostatecznie zdarzają, choć fakt dokładnego wycelowania w pola pegeeru może być już na ten przykład nieco zastanawiający.

Jakub Wędrowycz stanął przed chatą i rozejrzał się po okolicy. Nie podobało mu się to miejsce. Było dziwne.

W promieniu dwudziestu metrów od chaty gleba była wypalona na suchą glacę.

Sterczały z niej smętne pozostałości jakichś badyli.

Wyglądało to jak mały kawałek pustyni rzuconej w świat lasów i pól Lubelszczyzny.

Zjawisko było o tyle dziwne, że zaledwie dwanaście godzin wcześniej nad okolicą przeszła burza z piorunami i wszędzie wokół stały kałuże wody.

Dom chylił się ku ziemi.

Wokoło powtykane w głąbę patyki obwieszane kolorowymi szmatkami klekotały ponuro uderzając o siebie.

Zdobiąca drzwi krowia czaszka ozdobiona paciorkami skłaniała do refleksji. Jakub zapukał.

- Zjeżdżaj - dobiegł go ze środka starczy głos.

- Wybacz mistrzu, że cię nachodzę, ale mam ważną sprawę - zaczął. Z wnętrza dobiegł dźwięk oznaczający, że mieszkaniec rzucił w drzwi butem.

- Mam prezent - dodał. Wewnątrz panowała przez chwilę cisza.

- Ktoś ty? - dobiegło wreszcie pytanie zabarwione ironią.

- Jakub Wędrowycz ze Starego Majdanu. Egzorcysta amator. Byłem już tu kilka razy, ostatnio cztery lata temu...

- Wejdz buć łaska. - Wszedł. W chacie panował potworny smród.

Z boku pomieszczenia znajdowało się palenisko. Dalej stało zapadnięte łóżce.

Na wprost od wejścia królowało potężne ciężkie biurko, z całą pewnością ukradzione z pałacu.

Obok znajdował się rozwalony regał, a na nim kilka rozsypujących się książek.

Koło biurka stał dumnie wyprostowany niewysoki staruszek w garniturze.

Garnitur zapewne także był kradziony, na oko sądząc, jeszcze przed pierwszą wojną światową, i od tego czasu ani razu nie widział prania.

- Nu i czego ty, ha? - zapytał czarownik skrzekliwym głosem. - Ty od duchów, ja od czarów. Na naukę fachu przyszedłeś?

- Nie. Mam problem z jednym złośliwym typem. Potrzebna mi twoja wiedza.

- Hy! Znaczy co? Chcesz go otłuścić?

- Nie. Chcę na niego rzucić urok. Staruszek zaśmiał się złośliwie.

- Urok? Toś dobrzy trafił. Co chcesz? Gorączkę mogę i sraczkę, i świerzb, i włosów wypadanie, nawet zgnilca mogię mu zadać.

- Co ty? Na to są leki. Muszę zaszkodzić jego maszynom. Pojeździł mi kombajnem po polu.

- Znasz ty, gdy uroki były pisane, to jeszcze maszyn ni było ani, ani. Recept mogę ci podać, ale czy będzie dobrzy, to nie powim.

- Podaj. Spróbuję.

- Zara, zara. Ty mówił, że jest u ciebie dla mnie podarek.

Jakub wyjął z plecaka dziesięć butelek i ustawił je rzędkiem na stole. Czarownik złapał jedną. Odkorkował i pociągnął z lubością kilka łyków.

- Gut - wyraził swoje uznanie. - Trzydzieści procent jak obszył.

- No, co ty. Pełne osiemdziesiąt. Mów recept.

- Nu, dobra. Weźmisz czarno kurę...

Noc była pogodna. Widać było wszystkie gwiazdy. Droga mleczna przecinała niebo swoim łukiem.

Ziemia powoli oddawała zgromadzone podczas długiego upalnego dnia ciepło. Gdzieś daleko ujadły psy.

Dwa cienie przemknęły się bezszelestnie rowem. Rozległo się gdakanie kury.

Odpowiedziały mu głosy innych kur, zamkniętych w kurnikach. Gdkanie nasiliło się, a potem nagle umilkło.

- Tutaj? - rozległ się stłumiony szept.

- Tutaj - uspokoił go drugi. - Dawaj łom. Zaskrzypiały odrywane od płotu sztachety.

Po chwili dwa cienie wślizgnęły się na podwórze. Pies otworzył pysk, aby zaszczezać, ale w tym momencie jeden z nocnych gości przyłożył mu do pyska kawał szmaty nasączonej eterem. Pies szarpnął się kilkakrotnie i znieruchomiał.

Dwa cienie przepelzły pod drzwiami. Jakub zaczął kreślić kredą na kawałku betonu skomplikowane symbole.

Wreszcie zapalił zapalną i w jej świetle przez chwilę porównywał sporządzony rysunek ze swoją pamięcią.

- Fertyg - powiedział wreszcie. Józef przełknął nerwowo ślinę.

- Nie wiem, czy to zadziała - powiedział.

- Zobaczymy. - Wydobył z koszyka czarną kurę, urznął jej głowę brzytwą, po czym starannie zachlapał krwią rysunek.

- Uhr hakau seczech - powiedział z namaszczeniem. - Oby ten, który tu mieszka, nigdy nie dojechał swoim kombajnem na pole. W tym momencie na piętrze otworzyło się z rozmachem okno.

- Ha, złodzieje! - wydarł się Świrski.

- Chodu - wrzasnął nie mniej potężnie Jakub.

Obaj czarownicy rzucili się do ucieczki. Gospodarz wygarnął z dubeltówki w powietrze i stracił następne dziesięć minut na szukanie naboju i ponowne jej nabijanie. Nim skończył, obaj przyjaciele byli już daleko.

- Wywał to - powiedział Józef, patrząc na trzymany przez Jakuba bezgłowy zezwłok.

- No, co ty? Dobra kurka. Zjemy na śniadanie.

Cieężko los doświadczył Mariusza Świrskiego w następnych tygodniach. A było to tak.

Następnego dnia rano wsiadł na kombajn i ruszył w pole, gdzie miał umówioną robotę.

Pech chciał, że dwadzieścia metrów od bramy gospodarstwa strzeliła mu prawa dętka. Koło zupełnie sflaczało.

Wrócił więc do domu po traktor, żeby nim ściągnąć kombajn z powrotem na

podwórze.

Niestety, w czasie gdy uruchamiał traktor, nadjechała ciężarówka prowadzona przez pijanego kierowcę i zwała kombajn do rowu.

Uruchomienie pojazdu zajęło mu czas do wieczora, a urozmaicone zostało wycieczką do kółka rolniczego, gdzie musiał wyżebrać odpowiedni lewarek, oraz wizytą faceta, z którym był umówiony na koszenie pola, a który to obił mu twarz i inne części ciała, a następnie opuścił jego posesję zabierając ze sobą wpłaconą wcześniej zaliczkę.

Następnego dnia zdołał przejechać, aż kilometr, po czym pękła mu tylna oś. Sprowadzenie nowej z Lublina trwało równo tydzień i wymagało wręczenia trzech łapówek, w tym dwu całkowicie bezproduktywnie.

Wreszcie gdy znowu ruszył na pole, na szosie pojawił się drugi w gminie kombajn należący do kółka rolniczego.

Szosa była dosyć wąska, ale przecież wielokrotnie już się na niej mijali. Świrski miał dobre oko i tym razem też prawie mu się udało. Wylądował w rowie. Potrzebna była pomoc mechanika. Żniwa dobiegały końca, gdy ponownie ruszył na szosę.

Tym razem dojechał bez przeszkód na pole i zaczął kosić. Gdy dotarł do połowy, zapaliła się słoma wewnątrz pojazdu.

Usiłował walczyć przez kilka minut za pomocą gaśnicy z rozprzestrzeniającym się ogniem, ale wysiłki jego okazały się bezowocne.

Kombajn po krótkotrwałym pożarze zakończył żywot efektownym wybuchem, który z kolei podpałił leżący pokos słomy i stojące na polu zboże.

Prawdopodobnie spłonęłaby cała okolica, gdyby nie to, że jakoś bardzo szybko niebo zaciągnęło się chmurami i spadł deszcz. Ludzie zaczęli jakoś dziwnie omijać jego zagrodę, a po całej gminie rozpełzły się głupie plotki o czarach.

Przez parę tygodni był spokój, a potem zaczęły się wykopki. Pech strawiwszy kombajn zajął się dla odmiany jego traktorem.

Zaczął się niewinnie od zerwania paska klinowego, następnie zatarł się silnik, ale prawdziwy ubaw nastąpił kilka dni później.

Z niewiadomych przyczyn zablokował się pedał gazu i jednocześnie odmówił posłuszeństwa hamulec.

Traktor ciągnąc wyladowaną burakami przyczepę staranował bramę skupu i wyrznął w podstawę potężnego silosu. Świrski cudem uniknął wypadku wyskakując w porę. Złośliwy los sprawił jedynie, że wpadł na słup od linii wysokiego napięcia i osunął się na zalegającą w pobliżu słupą stertę gnijących kartofli, wybił sobie siedem zębów i złamał rękę.

Silos był wyjątkowo solidnie wykonany i teoretycznie nawet uderzenie rozpędzonego czołgu nie powinno zrobić mu krzywdy, jednak na skutek uderzenia traktora przewrócił się jak długi i rozwalił na kawałki.

Przez następne trzy lata w tym miejscu na wiosnę wyrastały samosiejki pszenicy. Odbył się proces, ale nie udało się udowodnić celowego staranowania silosu, więc Mariusz otrzymał wyrok w zawieszeniu i skierowanie na badania psychiatryczne, podczas procesu bowiem wywrzaskiwał coś niezrozumiałego o kłątwie i o tym, że zemści się na kimś.

Nie udało się ustalić, kogo miał na myśli. Z obserwacji wypuszczono go po miesiącu, stwierdzając, że wprawdzie jest to człowiek wyjątkowo zabobonny, ale nieszkodliwy dla otoczenia.

Jakub karmił właśnie swoje świnki, gdy ktoś stanął w drzwiach obory. Poznał Świrskiego.

- Wejść do środka, bo wyziebisz całe pomieszczenie - powiedział nieżyczliwie. Gość wszedł.

- I czego chcesz, ha?

- Jakub, ty na mnie rzuciłeś klątwę.

- Nie klątwę, tylko urok, po za tym, co za pomysł? Czy ja wyglądam na czarownika?

- Tylko ty byś potrafił. Może jeszcze stary Karwowski z Uhań, ale on nie żyje, bo już nawet jeździłem sprawdzić, czy by mi nie pomógł i nie odczynił...

- A co mu się stało?

- Ponoć wypił na raz dziesięć litrów samogonu i szalał powzi, aż wreszcie ktoś pokazał mu lustro i starzec padł na swój widok jak rażony piorunem.

Jakub poczuł swędzenie sumienia i podrapał się w tym miejscu po głowie.

- Nu, i co dalej?

- Odczyń urok. Już nie mogę tak żyć. Jutro chcę siać zboże.

Mrugnął i niezdarnie zaczął wciskać Jakubowi kopertę. Ten wziął i zajrzał ciekawie do środka. Wewnątrz było sześć miesięcy spokojnego życia.

- Niech ci będzie - zgodził się łaskawie. - Dostarczysz dzisiaj jeszcze następujące rzeczy...

Jakub i Józef noc spędzili pracowicie. Zarznęli białą kurę dostarczoną przez gospodarza, po wy wrzaski wal i w przestrzeń magiczne formułki.

- A ty, łachmyto najpierw pomyśl dwa razy, zanim pojedziesz na skróty przez czyjaś plantację - wrzasnął Jakub, gdy już było po wszystkim.

Dwaj czarownicy z godnością opuścili niegościnną ziemię. Następnie udali się do

gospodarstwa Wędrowyczów, gdzie upiekli kurę i delektowali się nią, popijając młodym winem.

- Tak swoją drogą, to kiedy znajdował ty czas, żeby majstrować mu przy kombajnie? - zapytał nieco już podpity Józef.

- No, co ja miałem majstrować. Rzuciliśmy urok. Nie pamiętasz?

- Pierdoły. Ni ma uroków.

- Teraz już nie będzie. Karwowski nie żyje.

- W ogóle nie było. Żyjemy w dwudziestym wieku.

- Haj, żywię dwudziesty wiek.

Unieśli szklanki do wschodzącego słońca.

KONIEC